

Jacek Cieślak

Rzeczpospolita, 06/2006

Wielka kultura wykonawcza i kompozytorska, klasyczne wykształcenie muzyczne – to wszystko nie przeszkadza mu być idolem młodzieży, inteligentnym, ale i przykuwającym uwagę barwnymi strojami, fryzurą czy okularami.

*"Zrozumiałem, że artysta potrzebuje odpoczynku, inaczej może się przetrenować."*

Na początku zaskoczył melomanów młodzieńczymi interpretacjami Chopina, ale i dziś jego muzyka przesycona jest aurą tego kompozytora. Możdżer wchodzi z nim w twórczy dialog, rozwijając własną stylistykę. Jest największym od lat objawieniem polskiej pianistyki, solistą łączącym klasykę z jazzem.

Dla gdyńskiego Teatru Muzycznego skomponował transoperę „Sen nocy letniej”, a dla wrocławskiego Teatru Kapitol musical „Skat”. Akompaniował Davidowi Gilmourowi. Jego partie pianina można usłyszeć w muzyce Jana A.P. Kaczmara z filmu „marzyciel” – nagrodzonej Oscarem. Z Adamem Makowiczem wystąpił w Carnegie Hall w Nowym Jorku. Z Kurami i Tymonem Tymańskim nagrał najważniejszy alternatywny album ostatnich lat „Polovirus”. Przez sześć lat był filarem yassowej grupy Miłość.

‘- Kocham muzykę, być może jestem pracoholikiem – powiedział „Rz”. – Taki tryb życia sobie wyobrażałem. Nie mam rodziny, więc mogę cały mój czas poświęcić na pracę. Gdy wszedłem na stronę z planami wizyty Jana Pawła II i zobaczyłem, że w wieku 80 lat potrafił odwiedzić trzy miejsca dziennie, odprawić trzy msze, odbyć spotkania z milionami ludzi, to pomyślałem sobie, że tak trzeba żyć. Odpocznę w trumnie’.

W zeszłym roku jednak przyhamował. Mało kto zresztą wie, że swoją aktywność mógł przypłacić kalectwem – cudem, niemal w ostatniej chwili, wyleczył kręgosłup, który nadwerżył podczas całodniowych prób, koncertów, komponowania. – Uczę się żyć wolniej, bo zdarzyło mi się już wylądować na wózku inwalidzkim po kontuzji kręgosłupa – powiedział. – Do tej pory oszukiwałem czas, eksploatowałem się zbyt intensywnie, 24 godziny na dobę. Wydawało mi się, że jeżeli mam jakieś zaległości muzyczne czy kompozycyjne, wystarczy zasiąść przy fortepianie na 10 godzin i wszystko będzie nadrobione. Brakowało mi ruchu. Teraz staram się nie spieszyć. Zrozumiałem, że artysta potrzebuje odpoczynku. Inaczej można się przetrenować, zrobić sobie krzywdę. Chodzę na siłownię, na basen, uważnie patrzę, co mam na talerzu, co piję.

Ale właśnie niezwykle dynamiczny sposób życia sprawił, że w wieku 35 lat ma na koncie udział w nagraniu blisko stu albumów. Jest laureatem Paszportu „Polityki”, a w tym roku wraz z Jerzym Jarockim odebrał na Zamku królewskim prestiżową Nagrodę Wielką Fundacji Kultury, przyznawaną najwybitniejszym polskim twórcom. Imponujące jest to, że niemal od początku, grając z największymi, potrafił zachować do nich dystans. – Takie spotkania dostarczają magicznych przeżyć, ale gdybym się nimi zbyt intensywnie przejmował, musiałbym każdego dnia chodzić przed kimś na kolanach – konkluduje. – Kilka razy widziałem, jak jeden z nich mylił się podczas koncertu, inny nerwowo biegł do garderoby, bo

zapomniał okularów. Teraz stać mnie na to, by przy każdym wielkim muzyku nie zapomnieć języka w gębie. I muszę liczyć na siebie, a to jest trudniejsze zadanie.

Mówi, że miał szczęście trafić na liderów, którzy wysoko mierzą. Nie wylądował w żadnym zespole chałturnicznym, nie natrafił na mistrza, który nauczyłby go picia wódki lub brania narkotyków. Stara się żyć normalnie, zgodnie z zasadą, że trzeba patrzeć na świat trzeźwo.

- Artyści wierzą w sztukę szczerze, myślą, że tylko to, co prawdziwe i naturalne, może się spodobać słuchaczom – mówi. – Zaś wielu handlarzy płyt, producentów i dystrybutorów zaciera granice między manipulacją a prawdą. Oni wiedzą, że wysokie nakłady nie muszą iść w parze z wysoką jakością nagrań. Długo nie mogłem pogodzić się z tym, że płytami handluje się jak skarpetami czy cegłami.

Bezsprzecznie najpopularniejszym albumem, w którego powstaniu brał udział jest tegoroczny bestseller „On An Island” Davida Gilmoura. – Grałem oszczędniej niż na swoich płytach, bo tego wymagała konwencja – wspomina. – Zarejestrowałem dużo muzyki, ale nawet gdyby zostało na płycie parę dźwięków, miałbym fajną pamiątkę, gdyż Gilmour skomponował bardzo piękne piosenki. Świetnie zabrzmiała orkiestracja Zbyszka Preisnera. Soczyscie. Parę momentów jest wstrząsających.

Chwilami można odnieść wrażenie, że nawet podczas rozmowy, nie tracąc wątku, zanurza się w świat muzyki. – To prawda – przyznaje. – Muzyczna maszyna w mojej głowie rozkręcona jest na całość. Działa nieustannie i produkuje nowe dźwięki. Mogę się tylko z mojej muzycznej fabryki cieszyć, chociaż wyłączenie jej nawet na chwilę jest trudne, gdyż żyje własnym życiem. Na szczęście mam już doświadczenie i wyrobioną intuicję, dlatego wybieram tylko wartościowe motywy. Wtedy jest duże prawdopodobieństwo, że rzeczy, do których się wezmę, nabiorą ostatecznie zgrabnego kształtu. Najpiękniejsze symfonie powstają, kiedy leży się z rękami pod głową, a najciekawsze formy muzyka przybiera w nieskrępowanej wyobraźni. Słyszę wtedy, co będzie grała orkiestra, bas, gitara, czy waltornie. Utrwalanie na papierze nutowym tego, co w głowie, nie jest wcale przyjemne. Już temperowanie ołówka bywa mozolne, a co dopiero zapisywanie kropek na pięciolinii. Improwizacja powstaje szybko, tu i teraz, dlatego cenię formy klasyczne, bo ich kompozytorzy przełamują zastane schematy poprzez mozolne budowanie muzycznych struktur. Trzeba się tego uczyć godzinami.